

Elżbieta Wiater

MISTYCZKI I WOJOWNICZKI

Kobiety, które zmieniały Kościół

Wydawnictwo WAM

Ta, która zwyciężyła dzięki miłości

SCHOLASTYKA

Miała na imię Uczennica (Scholastica), a jej brat bliźniak – Błogosławiony (Benedictus). Kiedy patrzy się na ich życie, trudno oprzeć się wrażeniu, że były to imiona prorocze. Zresztą jest ono do tego stopnia silne, że na fali systemowego wątpienia w źródła z tamtej epoki niektórzy badacze wręcz odmawiali obu tym postaciom historyczności. Fala przepłynęła, a bliźnięta z Nursji jak wytrawni surferzy wynurzyły się na drugim jej końcu i dziś już mało kto podważa to, że istniały, a nawet działały na przełomie wieków V i VI.

Właśnie ze względu na epokę, w której przyszło im żyć, o Benedykcie powiedziano, że „stanął na czasów granicy”. Jego biografia – wspaniała druga księga *Dialogów* autorstwa św. Grzegorza Wielkiego – pokazuje jednak, że nie był tam sam. Towarzyszyła mu Scholastyka, z którą od łona matki żyli razem, i wydaje się, że ta wspólnota była rozerwana tylko na czas życia pustelniczego brata. Trudno więc się dziwić, że siostra tęskniła za nim i to właśnie dzięki temu udzieliła mu jednej z najcenniejszych lekcji, jakie

w życiu otrzymał. Zanim jednak o tej ostatniej opowiem, spójrzmy na duchową matkę wszystkich mniszek żyjących według Reguły św. Benedykta chłodnym okiem historyka.

Głównym źródłem do jej biografii jest wspomniany przed chwilą żywot Benedykta. Napisany z wykorzystaniem starożytnej formy dialogu (rozmawia autor, Grzegorz, z nieznanym nam bliżej Piotrem) we wciągający i angażujący emocjonalnie sposób opowiada historię opata z Monte Cassino. „Przysłuchując się” tej rozmowie, dowiadujemy się, że pewnemu chrześcijańskiemu małżeństwu z Nursji około 480 r. urodziła się para bliźniąt. Była to rodzina można i zamożna, choć nie z tych najbardziej znaczących (powiedzmy, że ówczesna klasa średnia), za to niewątpliwie pobożnych.

Dzieci ochrzczili wcześniej, bo nigdzie nie czytamy o chrzcie Benedykta, a Grzegorz bliższą opowieść o nim zaczyna od momentu rozpoczęcia przez jego bohatera nauki w Rzymie. Wtedy edukację chłopcy rozpoczynali w wieku siedmiu lat, a więc przyszły autor Reguły swego imienia musiał być przyjęty do Kościoła jako dziecko – a skoro on, to także i siostra.

Ją już „od najwcześniejszych lat poświęcono Wszchemogącemu Panu”, a więc została zapewne umieszczona w dzieciństwie jako oblatka w jednym z rzymskich klasztorów. Tam została uczennicą *sensu stricto* – i to nie byle jakiego Mistrza. Zresztą pozostanie wierna Jego naukom aż po świętość.

Praktyka oddawania dzieci na służbę Bożą była wtedy czymś normalnym (w Regule św. Benedykta znajdziemy całe rozdziały poświęcone tematowi traktowania najmłodszych w opactwie), inaczej po prostu postrzegano psychikę dziecka i jego miejsce w rodzinie.

W rzymskiej mentalności wciąż obecne było przekonanie, że dopóki człowiek nie osiągnie dorosłości, jest własnością ojca. A z nią można postąpić wedle woli, na przykład decydując, że córka będzie mniszką, nawet jeśli nie ma ona jeszcze dziesięciu lat. W przypadku Scholastyki na szczęście decyzja ta okazała się słuszna i zgodna z tym, do czego powoływał dziewczynkę Pan.

Kiedy jej brat rozpoczął studia z literatury, ona zapewne już zdobyła wykształcenie na poziomie, jaki ówczesne zwyczaje przewidywały dla kobiety, i coraz głębiej wchodziła w życie monastyczne. Przypuszczam, że Benedykt ją odwiedzał – i kto wie, czy to nie ostry kontrast pomiędzy ciszą i ideałami siostrzanego monasteru a prawie pozbawionym zasad życiem studenckim dekadentckiego Rzymu sprawił, że pewnego dnia, w środku wykładu, młody mężczyzna nagle wstał i wyszedł z sali. Było to około roku 500 – zaczęła się jego droga ku szczytom: świętości i Monte Cassino, gdzie ostatecznie założył swój klasztor.

Nie wiemy, kiedy na tej górze dołączyła do niego siostra, zakładając w niewielkim oddaleniu żeńskie opactwo. Grzegorz zapisuje, że odwiedzała swego brata rzadko, zaledwie raz w roku. Bardzo prawdopodobne jest to, że korespondowali, ale nie zachowały się żadne ślady potwierdzające tę hipotezę. Jedno wiemy na pewno – ich więź, oparta na radykalnej miłości do Chrystusa, pozostawała wciąż żywa i karmiła oboje.

Grzegorz opisuje z detalami tylko jedną z wizyt Scholastyki w męskim opactwie. Nie weszła do niego, ale zatrzymała się wraz z towarzyszkami na terenie należącym do klasztoru, choć nie w jego murach, wyrażając w ten sposób poszanowanie dla klauzury. Ta geografia jest tu istotna, jak się wkrótce okaże.

Benedykt wyszedł do siostry ze swoimi braćmi i zasiedli w domu dla gości, by rozmawiać o „sprawach Bożych”. Oboje byli już wtedy wiekowi, a kiedy tak siedzieli przy stole posiwiali, pomarszczeni, ale otoczeni gromadą uczennic i uczniów, byli żywym potwierdzeniem Chrystusowej obietnicy, że ktokolwiek dla Niego opuści dom i bliskich, stokroć tyle ich otrzyma już teraz, w doczesności (por. Mk 10,28–31). Spędzili tak cały dzień, spożyli też wspólnie jedyny przewidziany w ciągu dnia posiłek, a kiedy przyszedł wieczór, Benedykt zaczął się zbierać do odejścia. Był to z jego strony przejaw wierności prawu, które sam ustanowił – reguła zdecydowanie zakazuje mnichom spędzania nocy poza opactwem, jeśli mają możliwość powrotu.

Scholastyka zaczęła prosić, by brat został i by mogła jeszcze cieszyć się wspólną rozmową, ten jednak był nieubłagany. Na jej żarliwą prośbę: „Proszę cię, nie porzucaj mnie tej nocy! Rozmawiajmy aż do rana o radościach życia wiecznego!”, odparł, sądząc po tonie, nieco oburzony, że nie może spędzić nocy poza klasztorem.

Tu Grzegorz wtrąca uwagę meteorologiczną: „A niebo było tak pogodne, że nie było nigdzie widać nawet najmniejszej chmurki”, po czym wraca do opowieści. Pisze, że Scholastyka nie kłóciła się z bratem. Po prostu spłótła dłonie na stole, pochyliła się i zaczęła się modlić. W sekundzie, w której podniosła głowę, za oknami przetoczył się grzmot, a z czystego do tej pory nieba lunął ulewny deszcz. Był tak gwałtowny, że nikt nie był w stanie wystawić nogi za drzwi.

Benedykt nie miał wątpliwości, kto za tym stoi. Z prostotą, zaskakującą dla naszej scjentystycznej mentalności, zawołał: „Niech ci wybaczy Bóg wszechmogący, siostro. Co ty zrobiłaś?”. Na to ona odparła, jak na zadzierzystą *mamma italiana* przystało: „Prosiłam

cię, a nie chciałeś mnie wysłuchać. Poprosiłam Pana mego i wysłuchał mnie. Teraz więc wyjdź, jeśli zdołasz, zostaw mnie i wracaj do klasztoru!”. Cóż pozostało upokorzonemu patriarsze – został. Całą noc przegadali na temat spraw Bożych, a rano deszcz ustał i Benedykt z braćmi wrócił do opactwa.

Nieodmiennie mnie zachwyca interpretacja duchowa, którą całemu wydarzeniu nadaje cytowany tu tak obficie papież-biograf. Zacytujmy go więc jeszcze raz, żeby nic nie uronić z jej piękna: „Benedykt nie zawsze, co chciał, mógł uczynić. (...) Woli jego przeciwstawił się (...) cud zdziałany przez serce kobiety, której Bóg użyczył swej wszechmocy. Nic dziwnego, że długo tęskniąc do brata, była ona owej godziny silniejsza od niego, bo według słów Jana «Bóg jest miłością» (1 J 4,16). I jest w tym głęboka sprawiedliwość, że więcej osiągnęła ta, która więcej kochała”. Cóż, po takim stwierdzeniu wypada tylko powtórzyć za rozmówcą Grzegorza: „Wyznaję, że bardzo mi się podoba to, co mówisz”.

Wiele mądrości można wydobyć z tej historii. Mnie przede wszystkim ujmuje ukazanie słabości Scholastyki jako przestrzeni jej największej siły. W swojej mądrości w chwili, kiedy jest bezradna, zdaje się na Boga. Nie mogła przecież zmuszać brata, żeby złamał prawo, które sam ustanowił i traktował je tak poważnie, że gdzieś w tej prawomyślności zagubiła się miłość. Scholastyka do idealnie poukładanego i zasadniczego męskiego świata wprowadziła odrobinę (o ile burzę o takim natężeniu można tak określić!) chaosu. Dzięki temu w tę przestrzeń mogło wejść życie, jego bezczelny, a przecież tak ujmujący dynamizm.

O Regule św. Benedykta jej znawcy, ale i praktycy, mówią, że głównym rysem tego dzieła, decydującym o tym, że od półtora

tysiąca lat jest wciąż aktualne i żyją zgodnie z nim tysiące mnichów oraz mniszek, jest umiarkowanie oraz zrozumienie dla ludzkiej słabości. Czasem się zastanawiam, czy na obecność tych cech nie miała wpływu właśnie relacja jej twórcy z siostrą. Czy Scholastyka, choć niewymieniona z imienia, nie była tą, która łągodziła zasadniczy charakter brata, cierpliwie wskazując na Boże miłosierdzie.

W jedno nie można wątpić – kochał ją bardzo. Świadczy o tym dalszy ciąg opowieści o niej w *Dialogach*. Otóż trzy dni po wizycie siostry Benedykt miał wizję. Zobaczył w niej, że Scholastyka umiera – jej dusza jak gołębica miała odlecieć ku niebu – na co zareagował w sposób dla nas zapewne szokujący. Otóż zaczął wielbić Boga. Nie dlatego, że utracił właśnie siostrę, ale dlatego, że widział, jak osiągnęła cel, ku któremu oboje tak wytrwale zmierzali. Dopiero gdy skończył śpiewać z radości, powiedział braciom, co się stało. Być może przemknęła mu też przez głowę pełna wdzięczności myśl, że dobra była ta burza i dobre wspólne nocne czuwanie, skoro zbliżał się czas odejścia Scholastyki.

Nakazał sprowadzenie jej ciała do opactwa i złożenie do grobowca, który przygotował dla siebie. Sam też wkrótce za nią podążył i spoczęli w łonie ziemi razem – jak razem mieszkali w łonie matki – w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Był to też znak, że zjednoczyli się o wiele bardziej, niż to możliwe w doczesności – z Bogiem i w Bogu.

Wróćmy do obrazu z początku tej historii, wziętego z hymnu do Godziny czytań na święto św. Benedykta: „Gdy nadszedł koniec dawnego porządku / I nowa ziemia rodziła się w bólu / Stanąłeś, ojcze, na czasów granicy / By chronić dobro”. Przełom wieków v i vi, a więc okres, kiedy żyło rodzeństwo z Nursji, to na Zachodzie powolne konanie świata antycznego, dobitego ostatecznie przez

barbarzyńców pustoszących Wieczne Miasto. Cała wysublimowana cywilizacja z jej kulturą, prawem, normami społecznymi i techniką – odchodziła w zapomnienie. Miasta przestawały istnieć lub zamieniały się w wioski, zanikała edukacja, a księgi stawały się luksusem, który potrafili docenić jedynie coraz mniej liczni piśmienni.

Z tego świata pogrążającego się w chaosie i śmierci właśnie Scholastyka i Benedykt wraz ze swoimi duchowymi dziećmi ocalili to, co było w nim dobre. Zachwyca mnie to, że u początku uregulowanego zachodniego ruchu monastycznego, który przez następne wieki będzie kształtował nasz kontynent, a w X i XI w. *de facto* wydobędzie Kościół hierarchiczny z totalnej duchowej zapaści, stanęło rodzeństwo. Równi sobie, autonomiczni, jeśli chodzi o opiekę nad swoimi wspólnotami, równie radykalnie biegnący w tym samym kierunku i jednocześnie tak głęboko kochający się całkowicie czystą miłością.

Scholastyka wydaje się pozostawać w cieniu brata, jednak to ona jako pierwsza osiąga cel ich wspólnego pragnienia. Jest też wzorcem dobrze opisującym rolę wielkich świętych kobiet średniowiecza, a może i każdej epoki. W jej milczeniu i oddaniu Bogu jest żywe podobieństwo do Maryi, bo tylko wzmacniają zdolność mniszki do upomnienia brata, gdy to konieczne. Całą siłę czerpie od swego Pana i to z Niego płynie jej autorytet – tak silny, że dla wierzących niepodważalny, ci zaś, którzy go nie dostrzegają, i tak muszą mu ulec przymuszeni okolicznościami. W końcu, jak mawiają mądrzejsi ode mnie, przypadek to tylko jedno z wielu imion Boga.

Misjonarka Zielonej Wyspy

BRYGIDA Z KILDARE

Wielu historyków zadawało i wciąż zadaje sobie pytanie, czy opowieści o Brygidzie z Kildare to jedynie nieco podkoloryzowane fakty, czy raczej chrześcijańska mniszka jest cieniem innej postaci. Wątpliwość ta wynika z lektury jej hagiografii, które są pełne parafraz z celtyckiej mitologii, a szczególnie mitów mówiących o bogini Brigit/Brigid/Brig. Nic dziwnego, skoro to imię, mające w sobie rdzeń o znaczeniu „wzniosła, wspaniała”, w języku celtyckim oznaczało po prostu żeńskie bóstwo. Która z Brygid więc jest tą prawdziwą?

O tej z Kildare wiemy, że była mniszką jak Scholastyka, choć nie została uformowana w duchowości benedyktyńskiej. Życie monastyczne w tamtej epoce miało wiele twarzy, część konsekrowanych dziewczyc żyła samotnie lub w niewielkiej grupie innych kobiet, często po przyjęciu welonu zakładały też własne wspólnoty oparte na napisanych przez siebie konstytucjach. Tak właśnie było w przypadku Brygidy.

Pochodziła z moźnej rodziny pogańskiej, część żywotów podaje jednak, że matka przyszłej świętej była niewolnicą ojca. Urodzona około 451 r. dziewczynka po osiągnięciu samodzielności zachwyciła się chrześcijaństwem. Jest to czas intensywnej działalności wysłanych na Irlandię mnichów-misjonarzy, m.in. św. Patryka. Rysem charakterystycznym prowadzonej przez nich ewangelizacji było to, że, inaczej niż na kontynencie, nie niszczyli zastanej pogańskiej religii, ale dokonywali jej reinterpretacji. Z obecnych w niej symboli i praktyk wydobywali chrześcijańskie znaczenie, co sprawiło, że irlandzkie chrześcijaństwo narodziło się szybko i relatywnie bezkonfliktowo, na drodze ewolucji, a nie rewolucji. Równocześnie znalazły w jego praktykach schronienie zwyczaje pogańskie, a św. Brygida i jej żywoty są, można powiedzieć, sztandarowym przykładem tej symbiozy.

Przyjęła welon konsekrowanej dziewicy z rąk św. biskupa Mela, a jej świadkiem był, przygotowujący ją wcześniej do ceremonii, św. biskup Macaille z Croghan, uczeń św. Patryka. Już podczas konsekracji miało dojść do wydarzenia, które stanowiło zapowiedź przyszłej wielkości Brygidy. Otóż przez pomyłkę św. Mel odczytał z ceremoniału, zamiast formuły konsekracji dziewicy, formułę konsekracji biskupa. Święty Macaille ostro zaprotestował, ale wtedy konsekrator odparł, że widocznie w tej pomyłce była wola Boża. Brygida oczywiście nie została wyświęcona, ale akt ten rzeczywiście miał prorocze znaczenie. O tym jednak później, bo najpierw trzeba wspomnieć o jednej z ważniejszych relacji w życiu mniszki.

Jeden z najwcześniejszych żywotów – a doczekała się siedmiu, i to już we wczesnym średniowieczu – łączy ją ze św. Patrykiem. Mieli się poznać na spotkaniu irlandzkich biskupów, na którym

sądzono jednego z nich, oskarżonego o spłodzenie dziecka. Jak opowiada legenda, odpowiedź przysłała dzięki Brygidzie, która sprawiła, że niemowlę przemówiło i wskazało swojego ojca. Dla św. Patryka było oczywiste, że mogła to uczynić tylko dzięki Bożej łasce, więc przyjął mniszkę z wielkim szacunkiem. Co więcej, stwierdził, że powinna wszędzie podróżować z kapłanem, by mieć stale dostęp do sakramentów. Wyzaczył więc jednego ze swoich księży na jej... woźnicę.

W Księdze z Armagh (IX w.), a więc ośrodka powiązanego ściśle z postacią Patryka, relacja między tą dwójką misjonarzy zostaje ukazana jako bardzo bliska: „Między św. Patrykiem i Brygidą, filarami ludu irlandzkiego, była tak silna więź (dosł. przyjaźń) Bożej miłości, że byli oboje jednego serca i jednej myśli. Za pośrednictwem i jego, i jej Chrystus uczynił wiele wspaniałych dzieł”. Część współczesnych historiografów widzi tu jednak jedynie wskazanie, że dwa ówczesne największe ośrodki kościelne uznawały nawzajem swoją władzę i rezygnowały z konkurencji – Armagh zadowalało się północą, zaś założone przez Brygidę Kildare – południem.

Teorię tę trudno obronić, gdyż w okresie powstania Księgi z Armagh układ odpowiedzialności jeszcze zdecydowanie przeważał na stronę tej ostatniej stolicy biskupiej. By zrozumieć taki stan rzeczy, trzeba wrócić do postaci i dzieł założycielki tego miejsca.

Część współczesnych badaczy odmawia jej postaci historyczności m.in. dlatego, że inaczej niż św. Patryk, który oprócz fundacji zostawił po sobie pisma, Brygida zamiast pisać wolała budować opactwa, zakładać szkoły, dbać o rozwój rzemiosł i dobrostan ludzi. Mnich Cogitosus, autor najwcześniejszego żywotu świętej (początek VII w.), opisuje ją jako tę, która dzięki swojej działalności przemienia

dziką i groźną wyspę w oswojoną i przyjazną, nie niszczy potencjału ukrytego w przyrodzie i kulturze, ale wydobywa go i nadaje mu ramy, tworząc w ten sposób załączek cywilizacji. Mówimy więc o mistrzyni pracy u podstaw. Parafrazując kwestię Ireny Kwiatkowskiej z *Czterdziestolatka*, można powiedzieć, że to święta, która żadnej pracy się nie boi.

Tuż po przyjęciu welonu zamieszkuje z towarzyszkami przy siedzibie biskupa w Croghan. Wkrótce jednak przenosi się pod dąb niedaleko pogańskiego ośrodka kultu w Knockhauilin. Pod drzewem tym zakłada klasztor, który w języku celtyckim otrzymuje nazwę Cell Dara (Kościół Dębu) – dzisiejsze Kildare. Tu pojawia się znów element odwołujący się do pogańskich kultów – otóż w klasztorze tym, podobnie jak w świątyniach celtyckiej Brigid, zapalony został wieczny ogień, którego strzegły mieszkające tam mniszki. Był on symbolem stałej obecności Boga wyrażającej się w istnieniu wspólnoty, ale sam w sobie jest znakiem zaczerpniętym z pogańskiej mitologii, w której wspomniana bogini była łączona ze światłem i ciepłem, także domowego ogniska.

Mieszkające tam kobiety oczywiście musiały zadbać o własne utrzymanie, ponadto praca fizyczna jest jednym z elementów mniszego życia, nic więc dziwnego, że w jednej z legend o świętej czytamy o tym, że pasła owce. Przyszła jednak, o co w Irlandii nie trudno, uporczywa ulewa. Przemoknięta do nitki pasterka schroniła się w jednym z szałasów. Jej płaszcz był ciężki od wody, więc z radością przez zalane deszczem rzęsy dostrzegła przebiegający w poprzek pomieszczenia sznur. Z ulgą zawiesiła na nim przemoczone wierzchnie okrycie i zaszła się w kątku na krótką drzemkę. Chwilę później do wnętrza zajrzeli inni pracujący w pobliżu pasterze

i z zadziwieniem dostrzeli, że okrycie Brygidy schnie zawieszona na... promieniu słonecznego światła.

Wróćmy jednak z krain pięknych opowieści na twarde historyczny grunt. Oprócz żeńskiego opactwa mniszka wkrótce założyła w Kildare także męskie. W rozrastającej się dynamicznie wiosce, a potem miasteczku, powstały szkoły (przy opactwach), uczono wszelakich rzemiosł, a wykształceni rzemieślnicy produkowali przedmioty użyteczne i piękne. W Kildare także leczono – i bynajmniej nie chodzi tu wyłącznie o dar uzdrawiania, którym posługiwała się Brygida, ale regularne hospicja. Przepisywano też księgi i powstała tam jedna z najbardziej znanych pracowni iluminatorskich na wyspie. Stworzona w niej Księga z Kildare dorównywała sławą i pięknem Księdze z Kells, jednak w przeciwieństwie do tej ostatniej nie dotrwała do naszych czasów.

Kiedy założone przez mniszkę miejsce organicznie wzrastało, by stać się jednym z głównych centrów religijnych i kulturalnych, Brygida podróżowała po Irlandii w celach misyjnych. Słynęła z mądrości, więc słuchano jej chętnie. W opisach cudów dokonanych przez nią podczas tych podróży, jak i w samym sposobie ich odbywania, hagiografowie upodobnili świętą do pogańskiej bogini. Opatka Kildare miała jeździć na wozie zaprzężonym w woły, a wszystkie zwierzęta, nawet dzikie, były posłuszne jej woli. Leczyła ludzi, przymnażała płodności trzodom, mleka krowom, a nawet wskrzeszała zwierzęta. Otóż w ramach podróży przybyła do pewnej ubogiej kobiety i poprosiła ją, aby ta zabiła i przyrządziła dla niej jedyne posiadane przez siebie cielę. Ta chwilę się wzbraniała, ale zrobiła, jak poleciła jej mniszka. Ku swemu zdziwieniu następnego dnia przy boku krowy znalazła takie samo cielę jak to zabite, tyle że jak najbardziej żywe.

Przede wszystkim jednak opatka Kildare nawracała i to jest najbardziej wyraźna różnica w stosunku do opowieści o jej pogańskiej poprzedniczce. O tym opowiada m.in. historia związana z chrześcijańskim znaczeniem krzyża św. Brygidy. Jest on wyplatany ze słomy i jeśli chodzi o kształt, przypomina swastykę, czyli pogański symbol słońca. Taki krzyżyk miała upleść święta przy łożu umierającego pogańskiego wodza, wyjaśniając za jego pomocą konającemu znaczenie męki Pańskiej. Opowieść tak poruszyła serce słuchacza, że tuż przed skoniem przyjął chrzest. Biorąc pod uwagę to, że sakrament ten zmywa wszystkie grzechy, trzeba przyznać, że tą decyzją wygrał wszystko. Krzyżyki takie Irlandczycy wykonują do dziś na święto Brygidy, czyli 1 lutego, po czym umieszczają je nad wejściem do domu – ma to strzec domostwo przed piorunami i wszelakim złem. Krzyżyk ten jest jednym z trzech, obok liścia koniczyny i liry, symboli Irlandii, podobnie jak ta, która go miała po raz pierwszy upleść, jest jedną z trojga patronów Zielonej Wyspy (pozostali dwaj to św. Patryk i św. Kolumban).

Cieszyła się tak wielkim szacunkiem, że zarówno ona, jak i jej następczynie na tronie opackim żeńskiego klasztoru w Kildare piastowały pierwsze miejsce wśród irlandzkich biskupów, określano je nawet mianem „arcybiskupów”. Tak zrealizowało się proroctwo wyrażone w błędzie św. Mela podczas konsekracji Brygidy. Sytuacja ta utrzymała się do pierwszej połowy XII w., kiedy król Leinster zgwałcił ówczesną opatkę Kildare, a na jej miejsce wprowadził swoją kuzynkę. Synod biskupów odmówił jednak prawa do przewodniczenia swoim spotkaniom narzuconej siłą przełożonej, stwierdzając, że nie ma ona autorytetu, bo jej władza nie ma mandatu wspólnoty przemawiającej głosem świętej.

Po owocnym i długim (ponad siedemdziesięcioletnim) życiu Brygida „uwolniona od trosk, zrzuciła ciężar ciała i podążyła za Bożym Barankiem do niebiańskich komnat, zasnawszy pierwszego dnia miesiąca lutego”, jak poetycko opisuje to Cogitosus. Było to roku Pańskiego 525 i miało miejsce w Kildare. W pogańskim kalendarzu było to święto bogini Brygid. Ten dzień, przypadający w połowie okresu między najkrótszym dniem roku a wiosenną równonocą, jest uważany w Irlandii za początek wiosny, a więc powrotu do bujniejszej wegetacji, mleczności krów i dni coraz pełniejszych światła. Za sprawą narodzin dla nieba świętej stał się uroczystością tej, która podtrzymując bujne życie Wyspy, nadała mu jednocześnie wzmacniające je ramy chrześcijańskiej cywilizacji.

Ujmuje mnie to, że w hagiografii Brygidy nie ma okrutnej śmierci, ascetycznych wyczynów, męczeństwo wyraża się w przyjmowaniu monastycznej codzienności z jej praktykami ascetycznymi, postami oraz modlitwami i głoszeniu Chrystusa, a także służbie wszelkim przejawom życia i twórczości. To jedna z najbardziej pogodnych opowieści o świętych, jakie można znaleźć w zbiorach żywotów. Główna bohaterka jest w niej przedstawiona jak dobra i mądra matka lub babcia dokonująca cudów, by odpowiednio zatroszczyć się o dom, bliskich, zwierzęta w zagrodzie, ale też dbająca o przekazanie tego, co jest dla niej najcenniejsze – wiary w Chrystusa. Tak skutecznie znika za swoimi dziełami, że, jak napisałam na początku, niektórzy historycy odmawiają jej realnego istnienia.

Pozostała wśród swoich, o czym świadczą cuda dokonujące się w jej sanktuarium, ale też opowieść o podtrzymywaniu wiecznego ognia w żeńskim opactwie. Odwiedzający je w drugiej połowie

xii w. Gerard z Walii opisuje, jak wyglądała ta straż. W chwili zgonu Brygidy w opactwie było łącznie z nią dwadzieścia mniszek. Potem utrzymywano stałą liczbę 19 i każda z nich miała swoją noc czuwania. Kiedy przychodziła dwudziesta noc, opuszczająca swoje stanowisko siostra układała przy palenisku drwa, mówiąc: „Brygido, strzeż swojego ognia. To twoja noc”. Rano zwykle dREW nie było, a ogień płonął żywo jak zawsze.

Choć wygaszono go ostatecznie w xvi w. na rozkaz biskupa, to w 1993 r. zapłonął na nowo, a Brygida pozostała świętą patronką Wyspy nawet po reformie spisu świętych przed II Soborem Watykańskim, kiedy usunięto z listy wszystkich świętych o wątpliwej historyczności. Myślę, że w gruncie rzeczy to pogańska Brygit była cieniem. Jej podobieństwo do opatki z Kildare zaś wynika z tego, że ta ostatnia swoim życiem w najdoskonalszy możliwy sposób odpowiedziała na tęsknoty, z których narodziła się celtycka bogini.